

Walenty Kotula*

Rozterki etyczne, moralne i poglądowne pokolenia urodzonego w pierwszych latach po II wojnie światowej, a dorastającego w PRL

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia...
(Maria Dąbrowska)

W 2020 r. minęło 450 lat, odkąd Krzysztof Głowa herbu Jelita w lesie rudniańskim, na tak zwanym pniu, założył miasto Głowów. Z czasem utarła się nazwa Głogów. Po II wojnie światowej dodano „Małopolski” i tak jest do dzisiaj. Wśród znawców przedmiotu urbanistyczne założenia sekretarza królewskiego to idealny plan grodu renesansowego.

Co zostało z dawnych czasów? Głogowianie chlubią się rynkiem. Ma kształt kwadratu o boku około 200 m. Na środku placu stoi ratusz, a w północno-wschodnim narożniku kościół. Od placu w czterech kierunkach odchodzą główne ulice, w rogach od niego – pozostałe. Liczne uliczki, zwane w przeszłości Tyłami, okalają gród w granicach dawnych wałów obronnych. Nie miały imion. Jedynie o kilku mówiło się: Pod Bóżnicą, Księżę Pierwsze, Księżę Drugie, Zawąły. I to nam wystarczało. Do krewnych i znajomych szło się nimi. Nie zdarzało się, by ktoś pobłądził. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu główne ulice nosiły imiona pobliskich miejscowości. W kierunku północnym wiodła ulica Stykowska, w kierunku wschodnim Wysocka, zachodnim – Zabajska,

*Pedagog, członek Stowarzyszenia „Lasowiaci” z Głogowa Małopolskiego.



Il. 1. Głogowski ratusz, lata 20. XX w.; oprócz siedziby magistratu mieściła się w nim szkoła, wyszynki alkoholi, komisariat policji, rzeźnicze jatki

a w południowym Rzeszowska. Tylko nazwa tej ostatniej utrzymała się do dziś. Zdarza się, że starsze pokolenie stosuje dawne, nieco zapomniane miana ulic i uliczek. Nie tak dawno ktoś zapytał mnie, gdzie znajdują się „biura Geesu”. Odpowiedziałem: Pod Bożnicą, koło Okopiska. I moje, i jego zdziwienie było duże. Moje, że nie wie, gdzie była uliczka Pod Bożnicą, jego – dokąd starszy pan go kieruje? Młodeму pokoleniu te nazwy już nic nie mówią. Zanikły toponimia: „Skotnia”, „Piskorniki”, „Szpitalniówka”, „Pod Borem”. Tam gdzie kiedyś wiodła skotnia (droga, którą pędzono bydło na wypas), są ulice Ogrodowa i Prusa. Wspomniana



Il. 2. Głogowski ratusz współcześnie (fot. Piotr Bajek)

„Szpitalniówka” to przedłużenie ulicy Larymowicza. Przez południowy „Piskornik” (ciek wodny sączący się ze wschodu na zachód) wiedzie główna ulica nowego osiedla: „Niwa” (dawne pola uprawne Pod Borem). Na północnym Piskorniku powstało także nowe osiedle: „Słoneczne”.

Najstarsi mieszkańcy nie pamiętają drewnianej zabudowy miasteczka. Na przełomie XIX i XX w. ogień kilkakrotnie trawił zabudowę, a po pożodze odbudowało się murowane. Jak przez mgłę pamiętam kilka drewnianych domków gdzieś na Księżym, w ulicy Stykowskiej. Jedynie na Polnej można spotkać, jako relikty przeszłości, takie chałupki. W większości nie są już zamieszkałe, choć przypominają, że to gniazda rodzinne wielu głogowskich pokoleń.

Jakże bardzo zmieniło się moje rodzinne miasteczko! Niby jest to samo, ale nie takie samo. Przez te lata rozrosło się, napęczniało jak dobrze wyrobione ciasto w dzieży i wypęzło

z niej, bo było mu za ciasno. Z kilkutyśięcznej mieściny liczy na początku lat dwudziestych XXI w. blisko dziesięć tysięcy mieszkańców. Okoliczne wioski: Zabajka, Styków, Rogoźnica, Kamieniec – Wygoda zatraciły swój rolniczy charakter i stały się osiedlami grodu Krzysztofa Głowy.

Świat mego dzieciństwa wyglądał zupełnie inaczej. Zmienił się diametralnie. Czy obecny jest lepszy? Nie podejmę się odpowiedzi, bo świat dziecka jest inny, wyidealizowany. Najwspanialszy – często do niego wracam. Realnie już go nie ma. Kilkadziesiąt lat temu rynek miasteczka wyglądał zupełnie inaczej. Też, jak dzisiaj, można wyraźnie zaznaczyć jego cztery części plant. Też jak sto, czy trzysta lat temu patronują mu figury Matki Bożej i św. Floriana. Zabudowa była parterowa. Tylko cztery budynki były piętrowe – ratusz, kamieniczka kasy, budynek obecnej szkoły muzycznej i gmach „Sokoła”. Chyba konserwator zabytków zmienił zdanie o architekturze głogowskiego rynku, bo coraz częściej nadbudowuje się partery i klimat „tamtej” zabudowy zanika. Metamorfozę przeszły planty. Jeszcze w późnych latach XX w. przypominały rozległy park. W części, gdzie w 1933 r. mieszkańcy ufundowali kamienny obelisk ku czci Wiktorii Wiedeńskiej, dominowały włoskie orzechy, lipy, obrzeża obsadzone morwami. Gdzie indziej rozrosły się płaczące wierzby – miejsce pierwszych fascynacji i randek. Wieczorami lubiliśmy pod nimi przesiadywać. Często tam śpiewaliśmy, opowiadaliśmy o życiu szkolnym, powtarzaliśmy zadany materiał na klasówki albo zgadywaliśmy, jakie tematy mogą pojawić się na maturze. Warkocze wierzb osłaniały przed ciekawskimi spojrzzeniami kumoszek głogowskich. Przed budynkiem tzw. kasy rosły rozłożyste jesiony, lipy i daglezie. Po niedzielnej sumie pod nimi stała głogowska „kawalerka”, a pod budynkiem „Kasy” zbierały się pannice. Potem wszyscy wyruszali na niedzielny spacer do Grabiny (parku miejskiego), nad „Staw Traczewskich” bądź na „Dębową Górkę” do „Lasu Głogowskiego”. Do dziś z tamtych

czasów rośnie na plantach kilka drzew iglastych, lip i trochę innego drobiazgu. Ładnie w rynek wkomponował się pomnik Ojca Świętego i barwna fontanna. Rabaty i klomby na wiosnę i w lecie przyciągają barwnością i pieśzczą wonnymi zapachami. Jedynie alergicy mogą narzekać. Gdy nowe nasadzenia podrosną, planty przybiorą charakter parku.

Znane jest zdjęcie głogowskiego rynku z lat trzydziestych XX w. Pełnił on zupełnie inną funkcję – tu odbywały się cotygodniowe targi. To zdjęcie jest tak odległe w czasie, że stwarza wrażenie obcości. Jest symbolem przemijania i zmian niesionych przez nowe czasy.

Zmiany w miasteczku dotyczą wielu wymiarów życia. Domy w najstarszej części miasteczka na ogół (jak wspomniałem) pamiętają przełom XIX i XX w. Niby z zewnątrz nie zmieniły się. A co zobaczymy w ich wnętrzu? Zapraszam do jednego z nich, przy ulicy Mickiewicza – dawnej Wysockiej, bo jest mi bardzo bliski. To mój dom rodzinny. Jak większość, ma od frontu dwa okna i drzwi wejściowe. W niektórych budynkach zachowały się bogato zdobione elementy secesyjne. Zasługa to głogowskich murarzy i stolarzy. Wcześniej do domostw prowadziły „carskie wrota” – potężna brama wjazdowa, by przez nią i przez sień wjechać wozem konnym z płodami rolnymi lub przepędzić przez nie bydło. Część mieszkalna składała się przeważnie z dwóch pomieszczeń i koniecznie „kómory”. Sień spełniała i inne funkcje. Była miejscem pod ręcznej spiżarki. W niej znajdowały się skrzynie z sezonową odzieżą. Koniecznie beka z kiszoną kapustą. Na strych była przystawiona solidna drabina. Z boku – wybrana pod nią „gróbka” – piwniczka. Służyła do przechowywania warzyw potrzebnych „na teraz”. Pod nogami było klepisko. Na nim w okresie jesieni młócono cepami zboże, złożone na strychu. Po każdej pracy polowej (zwózka siana, zboża, zrzucanie wymłóconej słomy itp.) była dokładnie sprzątana i omiatana, a na wiosnę koniecznie bielona.

Kuchnia – główne pomieszczenie rodziny. W niej domownicy spędzali większą część dnia. Tu toczyło się życie rodzinne. W moim przypadku najważniejszą osobą w domu była Mamusia. U kolegów rolę taką pełniła babcia lub rezydująca w domu siostry babci albo mamy. O roli Mamy w życiu rodziny wspomnę w innym miejscu.

W moim dzieciństwie w kuchniach dominującą rolę spełniał piec (u nas kaflowy), często wybudowany z cegły szamotki, by trzymał długo ciepło. Naczelną jego częścią była komora chlebowa. W naszym domu w czasach mego dzieciństwa (lata pięćdziesiąte XX w.) chleba się już nie piekło, ale na święta była w pełni wykorzystywana. Mamusia i jej siostra, ciocia Zosia, piekły w piecu chlebowym ciasta. Piec służył również do suszenia drewna, ziół i owoców.

Ważnym elementem wyposażenia był solidny kredens. Duży mebel, który skrywał we wnętrzu wszystkie „statki” potrzebne w gospodarstwie domowym. Ciekawostką jest fakt, że rodzice otrzymali go w prezencie ślubnym (w styczniu 1942 r. od zaprzyjaźnionego z rodziną Żyda, Abruma). Jego niektóre części znajdują się w lamusiku rodzinnym.

W kuchni przy stole było tyle taboretów, ilu mieszkańców. Przy drzwiach wejściowych do pokoju stało wygodne łóżko „po babci” – służyło mi za posłanie. Jakże chętnie poleżałbym teraz w takim łożu, na sienniku wypchanym miękką słomą owsianką. Niby jest w domu rodzinnym ta kuchnia. Zmieniła przeznaczenie. Po remoncie stała się pokojem. I tylko, kiedy odwiedzam dom rodzinny, oczami pamięci widzę kuchnię mego dzieciństwa. Z części dawnej sieni powstała łazienka i część kuchenna. Zajrzyjmy na chwilę do pokoju frontowego. Pomieszczenie pełniło funkcje reprezentacyjne. Tu zapraszano odwiedzających dom gości, w nim organizowano spotkania rodzinne z okazji świąt, imienin. Służyło również jako sypialnia rodziców. Meblem dominującym były dwa łóżka rodziców. Do nich składano pościel. Zawsze przykryte były

ozdobną kapą. Nad nimi obrazy Pana Jezusa i Matki Bożej. Tu była również reprezentacyjna szafa trójdzielka. Mniejsze części jej przeznaczone były na wykrochmaloną i wyprasowaną pościel, dwie pozostałe na drobne ubiory i okrycia wierzchnie. Na środku stał dębowy stół, na co dzień przykryty lnianym obrusem. Przy nim tapicerowane krzesła. Ważnym meblem był elegancki oszklony kredens, który skrywał zastawę porcelanową, ozdobne szkło, karafki, świąteczne sztuczce. Ozdobą pomieszczenia było także stojące lustro (tremo), z licznymi szufladeczkami na przybory kosmetyczne Mamusi. Z rzadka ich używała, bo w dni powszednie była bardzo zapracowana, a do krzątania się przy gospodarstwie domowym nie były jej potrzebne szminki, pudry czy lakiery do malowania paznokci. Z czasem „dorobiliśmy się” drugiego pokoju. Na długie lata stał się sypialnią rodziców. Starsi bracia do wyfrunięcia z domu zajęli pokój frontowy, który zmienił swój wygląd. Moją sypialnią nadal była kuchnia.

Odkąd pamiętam, budził mnie Mamusi śpiew „Godzinek” i „Kiedy ranne wstają zorze”. Nie przerywając śpiewanej modlitwy zaglądała do obórki, chlewika, doglądała drobiu. Po tym oporządzeniu przygotowywała nam śniadanie, ubrania i wyprawiała nas do szkół. Ponieważ Tatuś pracował w Rzeszowie, na Jej głowie był cały dom. Dopiero w liceum wychowawca uświadomił mi, jak ogromną pracę wykonuje moja ukochana Rodzicielka. Jej czas pracy był nienormalny. Harowała od świtu do późnej nocy. Znacznie później dotarło do mnie, że miała także czas na pracę społeczną. Uczestniczyła w pracach komitetu rodzicielskiego w szkole, należała do amatorskiego zespołu teatralnego. Kiedy usunięto nauczanie religii ze szkoły i pozbawiono księży nauczycielskich pensji, włączyła się przez kilka lat w organizację życia katechetycznego (razem z koleżankami zbierała datki dla katechetów, urządziła salkę katechetyczną). Wielką była rola Rodziców w naszym wychowaniu.

Tak jak na co dzień zajmowała się nami Mamusia (trzech rozbrykanych urwisów), niedziela była Taty. On był moim pierwszym nauczycielem historii. Prostował doniesienia zasłyszane na lekcjach historii, umiejętnie komentował wiadomości. Dużo mówił o bohaterach, o których w czasie edukacji nie mówiło się wcale albo przedstawiało się ich w czarnych barwach. Podziwiałem Go, że potrafił z pamięci recytować duże fragmenty *Pana Tadeusza*. Znał na pamięć sporo ballad Mickiewicza, *Ojca zadżumionych* Słowackiego. To Jemu zawdzięczam to, że krytycznie podchodzę do oceny współczesnych wydarzeń. Lubił powtarzać: „I tak my (społeczeństwo) za wszystko zapłacimy, a władza poradzi sobie bez nas”... Mile wspominam czas wypraw, wycieczek pieszych i rowerowych z Ojcem. Od Niego dużo dowiedziałem się o najbliższej okolicy. Nasłuchałem się sporo opowieści prawdziwych i zmyślonych o „mieszkańcach” (diabłach, szeptuchach, krasnoludkach i zwierzakach) okolicznych głogowskich borów. On pokazał mi pozostałości okopów wojennych. Często wycieczki kończył na leśnym dukcie – miejscu mordu rzeszowskich i głogowskich Żydów. W zbiorowej mogile spoczywa w głogowskim borze kilka tysięcy wyznawców Mojżesza. W pobliżu znajduje się polska mogiła ofiar terroru hitlerowskiego. Często odwiedzam to miejsce i staram się wnukom przekazać to, o czym opowiadał ich pradziadek. W 2023 r. miejsce kaźni odwiedzili goście z Izraela, Samuel z żoną Tamar. Ich rodzice cudem przeżyli okropności wojny. Po 1945 r. zamieszkali w Szczecinie, gdzie Samuel dorastał i kształcił się. Do dziś uważa się za Polaka, nie pozbył się polskiego paszportu. Mimo upływu lat posługuje się poprawną polszczyzną. W 1968 r. rodzinę jego zmuszono do opuszczenia Polski. On jest moim rówieśnikiem i przeżywaliśmy „wypadki marcowe” w maturalnej klasie. Znow pojawiły się rozterki, kto ma rację i dlaczego tak się dzieje. Przypomniał mi historię kolegi z liceum. Nie uczęszczaliśmy do jednej klasy, zbliżyły nas liczne wycieczki piesze i rowerowe. Spędzaliśmy ze sobą wiele

czasu. Po wakacjach w 1967 r. Marek nie pojawił się w szkole. Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że rodzina wyjechała do USA. Nie mogłem pojąć, że opuścił nas bez słowa. Nie wiedziałem, że ma żydowskie korzenie. I tak by mi to nie przeszkadzało. Ciągłe powracała myśl: „on jest Żydem, przecież mieszkał po sąsiedzku rzeszowskiej fary, uczęszczał z nami na religię do ks. Walentego Bala”. Najbardziej bolało, że wyjechał bez pożegnania. Po paru latach dowiedziałem się od kolegi, czasowo przebywającego w Stanach, o historii przyjaciela. Jego rodzinę władze PRL-u zmusiły do wyjazdu z kraju. Jego korespondencja do nas nie docierała. On myślał, że my się go wyrzekliśmy. Kontakty urwały się. Nie dane nam było wyjaśnić sobie zagmatwanych życiowych ścieżek dorastającej młodzieży. Zginął w wypadku samochodowym na amerykańskiej autostradzie. Przynajmniej jego rodzina dowiedziała się o naszych rozterkach i wątpliwościach. W moim sercu pozostał jako uśmiechnięty blondynek o kędzierzawych włosach i wspaniałych młodzieńczych, niekiedy szalonych pomysłach.

Dobrze się dzieje, że starsi starają się przekazać młodym nieprzemijalne wartości moralne. Zauważam, że coraz mniej jest rodzin wielopokoleniowych. Model rodziny z czasów mego dzieciństwa odchodzi do lamusa. Młodzi od razu pragną mieć wszystko. Najlepiej, gdy rodzice i dziadkowie nie wtrącają się do ich życia. Czy tak ma być? Dorastałem w innym świecie, starszemu pokoleniu okazywało się szacunek. Nie twierdzę, że tak nie jest, ale... I dlatego, kiedy moja Mamusia zaniemogła na starość, starałem się choć w części spłacić dług cosobotnią opieką nad nią w rodzinnym domu.

Jakże inaczej wyglądała nasza codzienność. Rytm dnia składał się z kilku części. Nauka, obowiązki domowe, na końcu trochę zabawy. Może i trochę narzekaliśmy, że musimy iść z Mamusią w pole i pomagać w pracach domowych i polowych. A to były czasy, w których na poletkach tzw. chłoporobotników niewiele mówiło się o mechanizacji. Większość

prac wykonywało się ręcznie i przy użyciu siły pociągowej konia. Moja pomoc polegała na pasieniu żywicielki rodziny – krowy o wdzięcznym imieniu Gacek. Musiałem pilnować, by nie zrobiła szkody w zbożu, ziemniakach, koniczynie. Nieraz zastanawiałem się, dlaczego nie smakuje jej trawa na miedzy, a pcha się w szkodę. Ten czas nie był beczynny. Odrabiałem wtedy ustne zadania. Podobnie zachowywali się koledzy. Wzajemnie odpytywaliśmy się, czy opanowaliśmy zadany materiał.

Mile wspominam czas jesieni. Płody rolne zostały zebrane. Oziminy ledwo co powschodziły. Bydło nie mogło robić szkody. Mieliśmy więcej czasu dla siebie. Ulubionym zajęciem było robienie fajerek. Puskę po konserwach dziurawiliśmy gwoździem. Z drutu uchwyt i – fajerka prawie gotowa. Do tak przygotowanej wkładaliśmy wysuszone łąno krowie. Podpalaliśmy zawartość i kręcąc tym urządzeniem wokół głowy, by zawartość porządnie się rozżarzyła, wyrzucaliśmy w powietrze. Powstawał precudny pałący się warokocz krowiego łąna. Z utęsknieniem czekaliśmy na czas, by zapalić ognisko z wysuszonych łątów ziemniaczanych i upiec w ognisku ziemniaki. Umiejętność dobrego wypieczenia nabywaliśmy od starszych kolegów i rodzeństwa. Zdarzało się, że zajęci czym innym spaliliśmy ziemniaki. Na takich ogniskach przypiekaliśmy i jabłka. Prawdziwym przysmakiem była rzepa, siana jako poplon. Wyrwaną z ziemi wycierało się o portki lub trawę. Zębami ściągało się skórkę i pałaszowało ze smakiem. Nać i resztki otrzymywała krowa. Innym zajęciem była gonitwa za „gałą”. Piłkę robiliśmy ze starych szmat i gałganów. Graliśmy do upadłego; najczęściej na małe bramki i bez bramkarzy. Oczywiście, dbaliśmy o to, by krowy nie poszły w szkodę i żeby się przypadkiem nie pobodły. Prawdziwym hitem była gra w scyzoryk. Każdy szanujący się brzdąc musiał mieć w kieszeni kozik i umiejętnie się nim posługiwać (rozłupywać orzechy, strugać patyki na kiczki, obierać jabłka

i gruszki noszone za pazuchą). Gra w scyzoryk bardzo ćwiczyła sprawność manualną palców (o czym przekonałem się wiele później w czasie studiów pedagogicznych). Gra polegała na tym, że z różnych części palców, ręki i czoła trzeba było tak wypuścić nożyk, by ostrzem wbił się w ziemię. Przegrany musiał zębami wyciągnąć wbity do ziemi kołeczek, który był prawie niewidoczny w murawie, piasku czy glebie. Takich zabaw już dzisiaj nie uświadczysz. Parę lat temu poprosiły mnie koleżanki ze szkoły, w której pracowałem, bym opowiedział o zabawach mego dzieciństwa dzieciom klasy piątej. Do zajęć się przygotowałem. Wykonałem ze starej dętki „zośkę” – pocięte krążki dętki, odpowiednio związane. Zabawa polega na tym, że trzeba ją umiejętnie podbić nogą i strzelić z odpowiedniej odległości gola koledze. Boiskiem może być kawałek korytarza szkolnego, podwórka, innego placu. Jakież było moje zdziwienie, gdy chłopcy mieli kłopoty z wykonaniem tego zadania. Nie potrafili dwa razy podbić gumowych krążków. Pokazałem im również, na czym polegała gra w „mitki”. Nie mam pojęcia, dlaczego tak nazywaliśmy tę zabawę. Obok „zośki” i scyzoryka była naszym ulubionym zajęciem. Trzeba było podbić głową kilka razy piłkę i z odpowiedniej odległości próbować strzelić gola. Boiskiem mógł być wspomniany wcześniej plac. Młodzi nie potrafili podbić piłki kilka razy. Brawami docenili umiejętności „dziadka Walka”. Dla tego pokolenia gra w „kiczki” i gonitwa za rafką rowerową napędzaną kawałkiem drutu to prehistoria. Oni najlepiej czują się w „sieci”, a gonitwy za piłką, „zośką”, gra w „kiczki”, scyzoryk to tylko sentymentalne wspomnienie ich dziadków. Jednego jestem pewien. O wiele więcej czasu spędzaliśmy na świeżym powietrzu, pomagając rodzicom w różnych pracach lub organizując rówieśnicze zabawy.

Z biegiem czasu zadawałem sobie coraz więcej pytań, na które trudno mi było znaleźć odpowiedź. Takie wątpliwości nurtowały również moich rówieśników. Nauczycielom

w szkole średniej nie bardzo ufaliśmy, by dzielić się wątpliwościami. Nie dotyczyło to wszystkich pedagogów. Nasz wychowawca z liceum był z wykształcenia geografem i ciągnął nas w soboty, niedziele i w wakacje na wędrowki piesze i rowerowe po pięknym Podkarpaciu. To on zaszczepił we mnie łażenie z plecakiem po Beskidzie i Bieszczadach. Wtedy dowiadaliśmy się o różnych zagmatwanych problemach Łemków, Bojków i Pogórze. Opowieści jego różniły się nieco od historii przedstawianych np. w *Lunach w Bieszczadach*. W roku 1966 przebywaliśmy na obozie wędrownym w Komańczy. Profesor opowiadał w czasie wędrowki po okolicy o UPA i banderowcach. Niby przypadkiem znaleźliśmy się w klasztorze w Komańczy i sporo dowiedzieliśmy się o kardynale Wyszyńskim. Nie omieszkał zaprowadzić nas na zarośnięte, zaniedbane cmentarze wojenne z czasów I wojny światowej. Jestem częstym gościem w tej okolicy i raduje się serce, że nie udało się z pamięci ludzkiej wymazać zagmatwanej historii pogranicza.

Dobrze się dzieje, że historycy próbują wszelkie zbrodnie wyjaśnić. Biegu historii nie zmienimy. Możemy wybaczyć, lecz i pamiętać o dramatach i tragediach narodu polskiego. Musimy uczulać młode pokolenie na te sprawy. W dziesiątej klasie liceum w czasie sprząwania strychu szkoły natknęliśmy się na reprodukcję obrazu „Orlęta Lwowskie”. Obraz odczyściliśmy i zawiesiliśmy w klasie. Wisiał sobie spokojnie parę dni. Dopiero po wizycie dyrektora szkoły w klasie wybuchła mała afera. Niby naiwnie dopytywaliśmy się, kto to byli ci orlęta. Oficjalnie w czasach PRL o takich sprawach się nie mówiło. Przekazywane informacje w domu o walkach we Lwowie po zakończeniu I wojny światowej były nam doskonale znane. Dyrektor szkoły wymigał się tym, żebyśmy się zwrócili do pani od historii. Kochana przez nas pani Ala najpierw opowiedziała o powstaniach śląskich, powstaniu wielkopolskim i w ten wątek wplotła walki o Polskę na Wschodzie. W tym czasie wśród uczniów zaczęła krążyć „Lista Katyńska” o zbrodniach NKWD na

polskich oficerach. Przecież według ówczesnych podręczników historii, zbrodni tej mieli dokonać hitlerowcy. Już wtedy wielu z nas w te brednie nie wierzyło, lecz byli i tacy koledzy, co mieli odmienne zdanie. Można było dostać mętlika w głowie. I w takich sytuacjach zawsze pomagali nam starsi, którzy walczyli na frontach II wojny, przeżyli obozy jenieckie, pobyt w obozach koncentracyjnych, zsyłki w głąb Rosji po 1945 r. Dorastałem w takich czasach, że o pewnych sprawach mówiło się tylko w gronie zaufanych. Uważam, że lata liceum (1964-1968) były bardzo ważne jeszcze z innego powodu. Wspólnie przeżyty czas, koleżeńskie zaufanie, okazywanie sobie pomocy w różnych sytuacjach owocowało trwałymi, nierozzerwalnymi więziami. Od lat staramy się regularnie spotykać. Początkowo „na zbiórkę” przed szkołą umawialiśmy się co pięć lat. Obecnie w miarę możliwości spotykamy się częściej. Wspominamy kolegów, którzy odeszli już na drugą stronę. Przypominamy nasze „wybryki”. Zawsze coś ciekawego dowiadujemy się o sobie sprzed półwiecza. W tym wszystkim najważniejsza jest więź. Nie zdarzyło się jeszcze, by któregoś z nas zabrakło w ostatniej ziemskiej drodze kolegi z naszej klasy, klasy „B”, I Liceum w Rzeszowie (matura 1968) im. Ks. Stanisława Konarskiego.

Cenię ludzi, którzy potrafią powiedzieć prawdę, ocenić krytycznie stan rzeczy, szanują odmienne poglądy. Tak się złożyło, że w stanie wojennym byłem dyrektorem szkoły i rozpocząłem wówczas budowę nowego budynku. Nie zamierzam pisać o trudnościach w zdobywaniu materiałów. W zimie 1985 r. przeprowadziliśmy się do nowego budynku. Dotychczas szkoła mieściła się w podworskich zabudowaniach: zawilgociona, zagrzybiona, praktycznie ruina. Myślałem, że różne problemy się skończyły. Ale, gdzie tam. Dużą pomoc w oddaniu do użytku szkoły okazali rodzice. Zażyczyli sobie, by w klasach powiesić krzyże. Nie minęło kilka dni i zaczęli odwiedzać nas smutni panowie. Koniecznie chcieli dowiedzieć się,

kto powiesił te „emblematy”. Węszyli, dopytywali. Kapitałną ripostą posłużył się pan Ludwik – palacz z kotłowni. Naga-bywany, czy widział, może wie... Odpowiedział: „Krzyża ino diabeł się boi”. Na tym sprawa się zakończyła.

Niejednokrotnie, stojąc przy stoliku nauczycielskim w klasie przypomiiałem sobie to zdarzenie. Staralem się zwrócić uwagę uczniów na ich nieodpowiednie zachowanie w tym miejscu, często wulgarny język. Wizerunek Ukrzyżowanego spowszedniał. Nie miał już dla wychowanków symbolu wiary. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że rodzice narazali się, że przez ówczesną władzę mogli być szykanowani i prześladowani. Takie czasy? Nigdy nie tracę nadziei, że będzie lepiej. Nie wiem, czy to dobrze, że jestem niepoprawnym optymistą i wierzę w drugiego człowieka. Z domu to wyniosłem, że drugiemu trzeba zaufać i w miarę możliwości pomagać innym. Okazane dobro zawsze wraca do człowieka. Niejednokrotnie się o tym przekonałem. Mamusia mojej żony jako kilkuletnia dziewczynka była świadkiem mordy na leżajskich Żydach, gdy biegła opłotkami miasteczka do rodziny w pobliskich Zmuliskach. Hitlerowiec na oczach rodziny chciał zastrzelić jej ojca – młynarza za posiadane „nielegalnie” żarna. Rzuciła się na kolana, objęła bandytę za nogi i łkała. Stał się cud. Niemiec strzelił w powietrze. Schował do kabury pistolet. Kazał rozbić żarna i wyszedł bez słowa. W późnej starości przeżyte koszmary często powracały. Zapamiętałem dewizę życiową obu kobiet – w drugim człowieku zawsze starać się dostrzec dobro.

Nie oceniać pochopnie niepotwierdzonych faktów i nie powtarzać zasłyszanych plotek. Wspaniałe byłoby, gdybyśmy potrafili tak postępować. Potrafić przebaczać, ale i o niegodnych czynach pamiętać i surowo je karać.